Tomasz Gnat pisze zawadiacko, ale i magicznie. Świetna, wciągająca książka!

ŁUKASZ ORBITOWSKI

TOMASZ GNAT

Braciszkowie Niebożątka

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Tomasz Gnat "Braciszkowie niebożątka" - fragment

A.Mason

1

CZAS POWROTU

Jan Kluczyk w czarnym garniturze pocił się nieznośnie. Przestępując z nogi na nogę, co rusz rzucał okiem na wypłowiały cyferblat zegara, który rdzewiejącymi ramionami wskazywał czas do przyjazdu pociągu. Lepkie słońce paliło w kark na betonowej wyspie peronu, pośród pól brzmiących muzyką niezliczonych rzesz owadów. Jedyny skrawek cienia, oferowany przez zardzewiały blaszany daszek, był aktualnie we władaniu miejscowego lumpa. Przyodziany w rozchełstaną koszulę i obszarpane portki, pijaczyna chrapał donośnie, leżąc pańsko na wypłowiałej ławeczce. Chrapanie, bas karczemny, splatało się z chórem rzępolących pasikoników, a gwiżdżący gdzieś wysoko skowronek prowadził tę oszałamiającą orkiestrę w coraz głębszy trans rozpaczy i zachwytu nad rozpalonym wrześniowym południem.

Gorąco zaczynało być powoli nie do wytrzymania. Jan rozmyślał, co mógł w tej sytuacji zrobić. Opcji nie było za wiele. Otwarty atak na lumpa – to po pierwsze. Męczeńskie trwanie w bezruchu to drugie. Powrót do piekła poczekalni – wyjście trzecie. Tam jednak Mordechaj, złośliwy kurdupel z Wiklinowa, grał rolę Belzebuba-dróżnika. Rzeczony kurdupel wypełniał swój czas dwiema czynnościami – a to rechocząc nad stroną dowcipów ze Wzorca Ludu, a to łypiąc złowrogo okiem na kogokolwiek, kto ośmielił się zakłócić czynność pierwszą.

Cóż więc czynić? Jan opcję rękoczynów odrzucił od razu. Nawet z tej odległości czuć było smród obiboka, który zapewniał ochronę skuteczniejszą niż najtęższy pancerz. Zostać na peronie znaczyło powoli zginąć w strugach rozpalonej słonecznej melasy. Więc wyjście było tylko jedno. Oczywiście istniało ryzyko utraty zdrowych zmysłów spowodowanej głupawym rechotem. Jednak tam, gdzie Jan jechał, szaleńców było co niemiara, więc nie będzie się przynajmniej zbytnio wyróżniał. Mężczyzna dźwignął walizę i ruszył w stronę dogorywającego w słońcu ceglanego budynku stacji.

Wypaczone drzwi skrzypnęły na zawiasach i z mazi południowego słońca Jan wkroczył w stęchły piwniczny zaduch poczekalni. Budynek był starszy podobno niż sama kolej. Skamieniałe zacieki ptasiego łajna zdobiły przysadziste kolumny. Spoczywały na nich poczerniałe belki sklepienia, uginające się gdzieniegdzie w próchniczej groźbie. Z toni poddaszowego półmroku dobiegały obce niebu skrzeki i trele, jakby sam budynek był odrębnym ekosystemem, gdzie ewolucja bardziej niż zwykle błądziła po omacku. Papa smołowa pokrywająca dach dyszała smrodem, sączącym się w dół wraz z podmuchami przeciągu wlatującego przez niewidoczne szpary. Brudne szyby, przetrawiwszy blask z zewnątrz, wydzielały na posadzkę niemrawe światłocienie. Wśród pagórków papierosowych petów, pożółkłych fragmentów gazet i opakowań po landrynkach samotny karaluch wędrował bohatersko ku sobie tylko znanemu celowi.

W otoczeniu tej fantasmagorii światła, śmiecia i świergotu, za barykadą kontuaru i krat, zasiadał Mordechaj, ekspedient, dróżnik i Belzebub stacji kolejowej. Błysk w jego zazwyczaj otumanionym spojrzeniu i konfiguracja magazynu trzymanego w ręku sugerowały, że zajmowała go właśnie dama z rozkładówki Wzorca Ludu. Liczba niezdarnie wydartych stron zdobiących ściany kanciapy, w której Mordechaj przesiadywał, wskazywała, że koneserem tego typu rozrywki był już od zamierzchłych czasów.

Jan postanowił nie przerywać transu estety. Taszcząc oburącz walizę, ruszył w kierunku osławionej ławy dworcowej, głównego narzędzia tortur, jakim szczycił się ten krąg piekieł. Świadomy, że próba siedzenia na onej może spowodować liczne obrażenia, Jan umieścił na ławie swą walizę. Zwyczaju odpoczywania bagażu nie pochwalał. W tym przypadku jednak dawały rozgrzeszenie warstwa brudu na podłodze i absolutna niemożność wypełnienia przez mebel podstawowej funkcji, do której był przeznaczony. A waliza sama w sobie nie byle jaka przecież. Mimo iż herb Uniwersytetu tłoczony w skórze wypłowiał, nie ma co go szargać byle podłogami. Przecież była to jedna z niewielu rzeczy przypominających o poprzednim życiu.

Jan oparł się plecami o chłodną ścianę i westchnął głęboko. Zamknął na chwilę oczy i w dusznej przestrzeni rozmyślał, co czeka go na końcu tego toru. Nowy Kamieniec – stolica. Miasto rozlane wokół osi Katedry nie pozwalało uciec tym, którzy choć raz posmakowali kurzu jego ulic i oddychali smogiem fabrycznych poranków. Z dymu i mgieł wychodziły zjawy gazeciarzy, wykrzykujące zaspanymi falsetami wczorajsze grzechy i sensacje. Za nimi mleczarze i dostawcy w skrzypiących wozach, końskie muskuły grały na cymbałach wystających żeber, bydlęta zawsze zdawały się niedożywione w zimnym świetle poranka. Kondukt zamykały dorożki wiozące na niezasłużony odpoczynek nocnych utracjuszy. Za chwilę miały rozlec się gwizdy i syreny manufaktur Kombinatu. Nocna zmiana kroczyła powoli, krok za krokiem bliżej łóżka, bliżej odrobiny samotności, bliżej względnej ciszy domu. Dzienna zmiana kroczyła powoli, krok za krokiem bliżej fabryk, bliżej części całości, bliżej otuchy owoców pracy. Ulicznik podrywał się jak spłoszony wróbel z bramy, w której spędził noc. Ścigany przekleństwami stróża, umykał wśród obojętnego tłumu.

Co ulica, to nowa miniatura, impresja rozmazana dymem i przyprószona drobinami sadzy. A oko jednak ciągle uciekało ku strzelistej bryle Katedry, która jak pijawka wysysała sens spoglądania na cokolwiek innego. Pęczniała obrzmiała, od korzeni ku sklepieniu miasta – majestat, groza, ekstaza pnąca się ku górze, wyżej, niż wzrok sięga. Całość na siłę wtłoczona w niedopasowaną ramę okna konnego tramwaju. Krótka wizyta w poranku miasta po drodze na Uniwersytet, ruchome obrazki wypełniające czas między obskurnym pokojem stancji a zimnymi aulami akademii. A tam już sterta papierów znajoma i kontur profesora Ochorowicza rysowany przez jarzącą lampę, mamroczący, pochylony…

Trzasnęły otwierane drzwi, podmuch pieca z zewnątrz rozproszył widma i omamy. Trzy sylwetki, plamy na słońcu południowego nieba. Weszli do środka, drzwi zamknęły się za nimi. Ten pierwszy od niechcenia rozdeptał karalucha wędrownika.

Co za tym idzie, Jan zauważył i zapamiętał o komisarzu Wyżniku po pierwsze ciężkie wojskowe trepy, znoszone, acz nienagannie wypastowane. Wędrując wzrokiem w górę, napotkał przydziałowy garnitur, czerń przyprószoną kurzem drogi, żadnych znaków szczególnych, kamuflaż biurowego harcownika. W ręku torba podróżna, skórzana bestia prężyła obrzmiały brzuch. Ręka na uchwycie, jak na obroży złego psa, trzymała zwierza krótko. Jednak była w tym wszystkim złośliwa nonszalancja sprężynowego noża, no zapytaj tylko, co tu mam, chętnie pokażę. Twarz mężczyzny zlana potem, opuchnięta, czerwona nad zapiętym na ostatni guzik kołnierzykiem. Uśmiech jak garnitur, również przydziałowy. Niewygodny, lecz konieczny. Oczom jednak brak już było sił, czy chęci, by szaradę kontynuować.

Po prawej stronie garnitur taki sam, ale napędzany innym mechanizmem. Tam była ściśle napięta sprężyna, tu raczej powolny postęp lodowca. Chłopisko stało jak głaz narzutowy, nieruchome, lecz noszące znak przedwiecznej siły. Włochate łapska wystawały z przykrótkiej marynarki, zaciskając się na rączkach masywnych waliz. Krótki kark wciśnięty między potężne bary, przygwożdżona doń głowa, oczy pod niskimi łukami brwiowymi jak odłamki krzemienia. Skroń porosła włosem płowym, suchym i splątanym. Kropla potu spłynęła po nosie, zawisła na czubku, skapnęła na posadzkę. Nic w tej skale nie wydrąży.

Po lewej zaś kobieta – mała, porcelanowa i sztuczna. Baletnica z pozytywki. Biała, nieskażona pyłem suknia w koronkach, tiulach i szyfonach. Bucik czerwony spod rąbka wystawał, bucik postukiwał w miejscu, bucik zdawał się rozdrażniony. Białe rękawiczki, torebka w dłoniach przyciśnięta blisko – znać temu, co ją otacza, niechętna. Tuż nad torebką sznur korali czerwonych, tuż pod nią szarfa niebieska wąską talię obejmująca. Kapelusz żurnalowy, aureola szykowna, przekornie na bok przechylona. Spod kapelusza loczek czarny niesfornie ucieka. Tylko twarz zjawy już przyziemna, grube chłopskie rysy pod pudrem i szminką, nadal kanciaste i surowe. Czarne okulary nie pozwalały dojrzeć oczu.

Gdy dwójka stała nadal przy wejściu, zabójca karalucha ruszył w stronę kontuaru. Mordechaj już od wejścia mierzył go złowrogim spojrzeniem. Jan jednak znał knypka na tyle, by dostrzec, że pod zawodową niechęcią ukrywał coś jeszcze – lęk, odrazę, gniew…? Magazyn i dama z rozkładówki zostały odłożone na bok, a w ręce karła pojawiło się wieczne pióro z okrutnie ostrą stalówką, nie wiedzieć, czy dla precyzyjniejszego wypełniania blankietów, czy do obrony własnej.

– Jestem komisarz Wyżnik, a to aspiranci Mocny i Żagiew – przedstawił towarzyszy wróg plemienia robaczego, wskazując kolejno na głaz przy wejściu i zjawisko w bieli. – Jesteśmy z poruczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kto tu pełni obowiązki dyżurnego ruchu?

– Ja – oznajmił Mordechaj.

– Będziemy potrzebowali dostępu do telegrafu.

– Nie działa – zaburczał pod nosem dyżurny ruchu. – Wczoraj się zepsuł i nie działa.

– A kiedy będzie działał?

– Jak ktoś naprawi.

Mordechaj wyraźnie odzyskał rezon. Lata doświadczenia w byciu wrzodem na dupie przeważyły nad lękiem, który odczuwał na początku. Uśmiech komisarza Wyżnika stał się już wyraźnie wymuszony.

– A kto jest odpowiedzialny za naprawę? – zapytał, zgrzytając zębami.

– Ja – odparł zadowolony z siebie Mordechaj i dodał, drapiąc się po brzuchu: – ale teraz nie mam czasu, bo pełnię obowiązki dyżurnego ruchu.

Komisarz Wyżnik mierzył go przez chwilę zmęczonym wzrokiem, po czym bez słowa wrócił do swoich towarzyszy. Rzucił coś ściszonym głosem. Drugi mężczyzna odpowiedział basowym mruknięciem, a kobieta westchnęła cierpiętniczo. Widać jednak, że zrozumieli, torby podróżne położone zostały na podłodze i oboje skierowali się w stronę kontuaru, za którym siedział p.o. dyżurnego ruchu. Tymczasem komisarz Wyżnik na nowo przykleił do twarzy uśmiech i w tym przebraniu podszedł nieśpiesznie do ławy, przy której sterczał Jan. Stanął przed nim bez słowa, niby od niechcenia, a jednak z premedytacją zasłaniając widok na kryjówkę dróżnika.

– Widzisz pan, jakie to teraz czasy nastały. Społeczeństwo narzeka, że za dużo biurokracji, że pięć biurw jeden stołek grzeje, a tu widać jednak brakuje pracownika.

Komisarz Wyżnik wyłuskał z wewnętrznej kieszeni marynarki blaszaną papierośnicę i zaprezentował ją wyćwiczonym ruchem. Jan automatycznie sięgnął po oferowanego papierosa i wymamrotał podziękowanie. Odpalił od podanego ognia i zaciągnął się głęboko, nerwowo szukając bezpiecznej odpowiedzi. Wyżnik nie schował zapalniczki, ale zaczął ją z wirtuozerią obracać w palcach i przekładać nad knykciami. Srebrny sześcian to pojawiał się, to znikał w jego dłoni. Pokaz i poza

przemawiały wyraźnie: patrz no tutaj, obywatelu; to, co za nami, nie jest twoim problemem. Mimo że Jan podobne pokazy znał i przekaz rozumiał, tępa ciekawość nie pozwalała nie zerknąć nad ramieniem komisarza. Bazaltowa statua zamarła pochylona nad kratami, biała zjawa stała wyprostowana, kropla potu spływała z jej skroni, ryjąc ścieżkę w podkładzie pudru. Mimo bezruchu obu postaci było w tym impasie wolno rosnące napięcie, jak struna naciągana powolnym ruchem grała coraz to wyższą nutę.

Nabrać w płuca gorącego dymu raz jeszcze, pomyślał Jan, uniknąć wdawania się w rozmowę, obserwować, jak się sytuacja rozwinie. Jeszcze chyba nic mi nie grozi, nie moje przewinienie. Mordechaj w łeb pałką dostanie, to pewnie od razu zmieni nastawienie. Jan już widywał nakłanianie do współpracy, ale by tak brata urzędnika do porządku doprowadzać w obecności obywateli, to coś nowego. Ciekawie popatrzyć, spokojne sumienie gapia. Na razie to władza swoje brudy pierze, a postronny może choć obśmiać bielejący znad opuszczonych spodni tyłek systemu. Komisarz spostrzegł, że karczemne sztuczki nie wystarczą, trzeba uwagę obywatela zwrócić na jego własny problem kontaktu z władzą.

– A pan gdzie podróżuje? Interesy, przyjemność? – zagaił, przesuwając się o pół kroku do przodu, z wyraźną inwazją w przestrzeń osobistą rozmówcy.

– Jadę do stolicy – odparł Jan szybko.

Za plecami komisarza nadal panował dziwny bezruch, ale naciągana struna zaczęła drżeć ledwo wyczuwalnym tonem.

– A co Ministerstwo Spraw Wewnętrznych robi na przysiółku? – rzucił Jan z udawaną nonszalancją. – Znowu ewidencja ludności?

– A nie, nie. My akurat jesteśmy z Wydziału Metafizyki – zripostował tamten, wpatrując się z nagłą intensywnością w rozmówcę.

– Bogobójcy… – szepnął Jan mimowolnie i zbladł na widok grymasu komisarza.

Grymas jednak szybko zniknął, powrócił obowiązkowy uśmiech, tylko oczy nadal wwiercały się w rozmówcę.

– A co pana do stolicy wiedzie?

– Na pogrzeb jadę – odpowiedział Jan, za szybko, za nerwowo.

Rzut okiem za plecy komisarza. Coś zaczęło się tam dziać, podprogowy pisk struny sprawiał, że drobiny kurzu wirowały szaleńczo w smudze bladego światła wpadającego przez okno.

– A, to moje kondolencje. Pan miejscowy?

A temu po co wiedzieć? Zaraz, a co bogobójcy tu na prowincji robią? Przecież po coś musieli przyjechać, za czymś węszą. Chyba nie tamte sprawy przedwieczne, pogrzebane, zamknięte? Nie, na pewno nie. A więc tylko pewnie pan komisarz uprawia zwykłe urzędowe zastraszanie przez nadmierną ciekawość.

– Tak, miejscowy, w szkole uczę.

– O, intelektualista. I to widać nie byle jaki, skoro z Uniwersytetem obeznany. – Uśmiech komisarza stracił na sztuczności, zyskał za to coś z wyszczerzonego pyska ogara, co zwęszył krew.

Skąd on, do cholery…? Herb, zatarty i ledwo w tym półmroku widoczny, natychmiastowa zła karma za odpoczywanie bagażu. A więc nie tylko pusta ciekawość. Tamten instynktownie wyczuł, że coś jest nie tak. Jan zaczął desperacko szukać jakiejś odpowiedzi. Komisarz nie przerywał ataku.

– A ja akurat wiem, że akademię ostatecznie opuścił profesor Ochorowicz, emeritus od lat kilkunastu. Pan były student… czy może współpracownik dawny?

– Ja…

Ostry ból przeszył nagle dłoń. Zapomniany papieros sparzył palce i Jan odruchowo go wyrzucił. Kometa żarząca ogonem przeleciała nad posadzką, nad pagórkami śmiecia, nad truchłem karalucha wędrownika. Krzyk bólu i pękła struna. Pisk z podprogowego przeskoczył od razu w najwyższą oktawę. Trzasnęło pękające szkło.

Obraz zamarły w bezruchu eksplodował na kilkanaście fragmentów, każde studium malowane drapieżną kreską jaskrawego światła bijącego od postaci kobiety. Okulary przyciemniane rozpryśnięte, wywrócone białka oczu, wykrzywione w grymasie usta, a w nich rodził się skowyt. Wyżej i wyżej, wycie podnosiło twarz ku sklepieniu. Padała na kolana w brud posadzki, ręce uniosła w obronnym geście. Spod sufitu w odpowiedzi zaczęła sączyć się maź smołowa, wolno, jakby badając nieznane sobie prawa grawitacji. W mazi ostre dzioby, spiczaste pióra, zajadłe szpony kotłowały się i przelewały – głodne, wrogie, obce. Struga spływała w dół, rozchlapując po posadzce czarną kałużę. Zaczęła rosnąć, formować, wypuszczać szponiasto-dziobate macki, które pełzły bliżej i bliżej ku klęczącej kobiecie. Zawodzenie ustało, usta na darmo próbowały złapać oddech. Powietrze ołowiane przejęło od tej mazi coś ze śliskiego ciężaru, wypełniało płuca sadzą. Po posadzce, skrobiąc i stukając jak nożem po szkle, szpon, dziób i kostka zatopione w mazi drapały i pełzły.

– Co żeście, kurwa, narobili?! – wykrzyknął Mordechaj i zeskakując ze swojego zydla, zniknął za kontuarem.

Aspirant Mocny zbudził się z otępienia i przez chwilę widać było, że walczy z dylematem, gonić tamtego czy pomagać tutaj. Wybrał to drugie. Szarpał chwilę za zapięcie marynarki. Niecierpliwie zerwawszy guzik, dobył krótkiej drewnianej pałki i runął w stronę smolistej potworności. Raz obruszona w dół lawina nabierała pędu, gromadziła siły w swym impecie, by z potężnego zamachu walnąć w najbliższą mackę pełznącą po podłodze. Czarna jucha bluznęła dookoła i macka eksplodowała fetorem starej padliny, rozsypując wokół wyschłe truchła ptasie. Aspirant Mocny chciał wznieść pałkę do kolejnego ciosu, ta jednak przywarła do posadzki i na nic prężył się granitowy biceps. Broń sterczała pod dziwnym kątem, przyklejona do podłogi.

– Zostaw! – wrzasnął komisarz Wyżnik. – Zabieraj stamtąd Lalkę!

Wielkolud, porzucając zakotwiczoną broń, podbiegł do kobiety, która nadal rybio otwierała i zamykała usta, na próżno próbując zaczerpnąć głębiej tchu. Chwycił ją pod ramiona, usiłując podnieść z kolan, ale ona przelewała mu się przez ręce, osuwała na podłogę z twarzą skrytą pod rozsypanym włosem. Spod tej czarnej zasłony kropla po czerwonej kropli skapywała krew. Łapa mężczyzny szarpała niezgrabnie, aż pociągnęła przypadkiem za sznur korali. Deszcz paciorków, jak nowo otwarta rana, wybuchnął strugą karminową. Mężczyzna zmienił chwyt, obłapił kobietę w pasie i zaczął odciągać w stronę drzwi. Ciężko szło, powoli, centymetr po centymetrze, jakby siłować mu się przyszło z wyładowanym zaprzęgiem, a nie z filigranową kobietą.

Komisarz Wyżnik tymczasem pozostawił otępiałego Jana i skoczył w stronę pozostawionych na podłodze bagaży. Upuścił na podłogę trzymaną w ręku torbę i zaczął mocować się z licznymi zamknięciami potężnej walizy. Po chwili zapięcia odskoczyły z trzaskiem i Wyżnik zaczął nerwowymi

ruchami montować ustrojstwo, składające się z rurek, miechów i zbiorniczków.

Czarna maź tymczasem nadal pełzła po podłodze. Zgrzytała kośćmi po posadzce, z lepkim mlaśnięciem odrywała się i przywierała śmierdząca ropa. Macki głaskały powietrze przed, nad i poza nią, szukając, badając, łaknąc. Odpadały od całości mniejsze fragmenty trupków, sypiąc pożółkłymi kostkami i resztkami tkanki. Trach, spróchniały łebek ptaka oderwał się od reszty i potoczył po nierównych kafelkach. Aż zatrzymał się przy bucie Jana. Żywe oko patrzyło w wyschłe, pióro zetlałe i włos na skroni drgały od tego samego podmuchu przeciągu, dziobek rozwarty, usta otwarte, niema groza w obu.

Jan przełknął ten koszmar z trudem i poczuł, że zalegał mu w żołądku mdlącym ciężarem. W głowie miał mętlik, myśl goniła myśl. Uciekać, walczyć, trwać nadal w bezruchu? Pod tymi pytaniami jednak narastało w nim znów to niechciane uczucie, powolne napięcie rodzące się od czubka głowy i rozpływające do serca, a stamtąd pulsującymi falami do kończyn. Energia owa pozostawiała dziwny szmer pod czaszką, szum jednoczesny wielkiego tłumu, bez słów, bez języka, ale pełen znaczeń, ciężki retoryką masy. Bezruch obezwładniający ogarnął wszystkie członki, pot perlił się na czole, w ustach Jan czuł metaliczny posmak krwi.

Czuł to już wcześniej, ale nigdy tak silnie, nigdy nie był tak blisko zrozumienia treści przekazu. Studiował teorię z profesorem, ślęczał nad opisami przypadków Czynienia, pisał analizy eksperymentów. Wszystko, by znaleźć naukowe wyjaśnienie fenomenu, który zdawał się antytezą nauki, metafizyką. Wtedy wszystkie drogi prowadziły do Katedry, każdy ślad skierowany był w głąb spirali, czarne centrum mamiło i przyciągało. To, co było z początku niewinne, ot, ciekawy temat badawczy, bezwiednie wiodło ich wszystkich coraz bliżej serca stolicy. A im bliżej byli, tym więcej musieli naginać praw i zasad – tych urzędowych i tych zwykłych, ludzkich. Oficjalne odczyty zamieniły się w dyskusje za zamkniętymi drzwiami, dyskusje przeszły w szepty, te w wymowne spojrzenia i ukradkową wymianę notatek. Zbyt daleko to wszystko zaszło, zbyt blisko jakiegoś niewypowiedzianego koszmaru, który zaczął prześladować każdego z nich.

A kiedy przyszli ci z Ministerstwa zadać kilka pytań, kiedy zaczęli wywalać na podłogę skrzętnie zbierane tomy, przerzucać bezcenne zapiski, deptać po manuskryptach, wreszcie szarpać wiekowego profesora, przepłynął przez Jana podobny prąd. Poczucie winy i gniew zmieniły się w dziwną energię i hałas. Do dziś nie wiedział, czy starzec coś wyczuł, czy tylko chciał ostudzić zwyczajny młodzieńczy zapał. Jedno spojrzenie znad drucianych oprawek okularów dało jasno do zrozumienia, by dać spokój, zostawić. Nierejestrowany Czyniący w grupie podejrzanej o zakazane badania? Owszem, może i Ministerstwu się przysłużył, ale czegoś takiego nie można było puścić płazem. Jan nie zrobił więc nic. Zostawił, wyjechał, zapomniał. Profesora Ochorowicza przesłuchano i uznano za głównego prowodyra. Ze względu na wiek wypuszczono go szybko. Kilku młodszych i nieukładnych współpracowników zamknięto na parę lat lub zesłano. Notatki i papiery skonfiskowano. Sprawa zamknięta. Do teraz.

Bo znów przed oczami pojawił się fraktalny schemat rzeczywistości. Jak kod, do którego masz kartę szyfru, zagmatwany splot odkrył przed Janem swoją skomplikowaną, acz zrozumiałą strukturę. Wystarczy sięgnąć i zmienić jedną linię. Kość rzucona przeskakuje oczko i wypada upragniona szóstka. Brakuje na chleb i spotykasz na mieście przyjaciela, który zawsze wspomoże. Koń spłoszony potyka się i pada zaraz przed dzieckiem, które na drogę nieopatrznie wybiegło.

Jan wysiłkiem woli stłumił w sobie instynkt, który kazał od razu sięgnąć i fragment kodu przepisać na nowo. Każdy aktor sceny w poczekalni był zajęty własną rolą, ale na pewno dostrzegą, na pewno zapamiętają. Na nic się zdadzą tłumaczenia, że jechał sprawę załatwić, oddać się w dobrotliwe ręce systemu, zarejestrować, zrzucić w końcu ten ciężar i dryfować z nurtem biurokracji. Ujawnić się wcześniej to przyznać, że obywatel samowolę uprawia, że łaskę państwu robi, obywatelski obowiązek

wykonując. Ujawnić się teraz to przyznać, że i wtedy był Czyniącym, że tamten donos to dym i lustra, które jego własną skórę miały uratować.

Tylko jeśli zdechnę tutaj tą smołą i grozą oblepiony, pomyślał Jan, to na nic mi będą państwowe rejestry. Niech się dzieje, co chce, byle z tego koszmaru uciec, byle nie sczeznąć jak karaluch w brudzie. Moment koncentracji. Spojrzeć głębiej w kod, próbować odczytać dostępne możliwości. Próchniejąca belka pęka i spada, przygniatając plugastwo? Posadzka znienacka zapadnięta ciągnie je w głąb ziemi?

Jana opływał strumień informacji. Można choćby… Ukłucie bólu nagłe, jak cierń w dłoni. W mechanicznym zapisie wyrosła skaza. Ropiejący wrzód, który czarną plamą pochłaniał kolejne linie zapisu. Rósł i rósł, aż pękł bąbel ropny i wylało się z niego zepsucie, zatruwając rosnącą falą całą jaźń. Odraza i ból na początku odebrały mowę, zapierały dech w piersiach, sparaliżowały całe ciało. Maź zaczęła wypuszczać pędy, wędrujące rozgałęzieniami neuronów, żłobiąc płonące żywym ogniem ścieżki, oplatając zmysły, dusząc resztki świadomości.

Mężczyzna próbował zerwać ohydną sieć, przełamać kanał kontaktu, ale powoli opuszczały go siły, zaczął poddawać się rozrywającej myśli udręce. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć. Pole widzenia zawęziło się i na końcu długiego, ciemnego korytarza Jan dostrzegł, że przez czarną maź pełznącą po posadzce przeszedł gwałtowny, ekstatyczny dreszcz. Lepkie, szukające macki zwróciły się wyraźnie w jego stronę. A on nic nie mógł zrobić. Ani ruszyć się, ani nawet przerażenia wykrzyczeć.

Nagle przed oczami Jana wyrósł Mordechaj, przysłaniając widok potworności. Widziana jak w głębinie studni, pokraczna gęba kurdupla wykrzywiona była w grymasie i mężczyzna zdawał się coś wrzeszczeć. Po chwili Mordechaj uniósł rękę, ręka zacisnęła się w pięść, a pięść walnęła z trzaskiem w nos Jana.

Struktura kodu rozsypała się, nabierając fizycznych kształtów rzeczy, a wraz z nią znikła lepka sieć oplatająca zmysły. Z rozbitego nosa trysnęła krew, jednak ból był oczyszczający, stalowym skalpelem odcinał gangrenowe wizje, przywracał świadomość. Nabrany łapczywie oddech wypełnił płuca błogim i mile znajomym smrodem poczekalni. Małpia gęba Mordechaja skrzywiła się na nowo, ale teraz Jan rozpoznał w tym grymasie szczere zadowolenie – czy to z pomocy bliźniemu, czy z możliwości przyłożenia pięścią współobywatelowi. Jan miał głęboką nadzieję, że uśmiech dyktowany był pierwszą przesłanką, bo w drugim ręku kurdupel ściskał wyższy od siebie garłacz.

– Lepiej? – rzucił Mordechaj, szczerząc krzywe zęby. – Jak tak, to może szanowny pan uczyciel pomoże wyrwać chwasta?